

# KAMENA

LUBLIN 18 XI 1973 Nr 23 (535)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Jan Popok (Wystawa Indywidualna BWA Lublin, maj 1973).

Fot. A. Polakowski

## Nagroda dla Jana Popka

**D**OROCZNĄ Plastyczną Nagrodę Lubelszczyzny, ufundowaną przez Wydział Kultury i Sztuki Prezydium WRN w Lublinie i objętą patronatem redakcji „Kamena” otrzymał Jan Popok — za wystawę indywidualną otwartą w maju 1973 roku w sali Biura Wystaw Artystycznych, Nagrodę przyznano jednomyślną decyzją jury, które obradowało w składzie: Alfred Gauda — zastępca kierownika Wydziału Kultury i Sztuki PWRN, Ireneusz J. Kamiński — krytyk sztuki, pracownik redakcji „Kamena”, Andrzej Kołodziejek — artysta malarz, prezes Okręgu Lubelskiego ZPAP, Andrzej Mroczek — historyk sztuki, przedstawiciel BWA.

Jan Popok, o którego twórczej działalności wielokrotnie informowała „Kamena”, urodził się w 1942 roku. Ukończył zamojskie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, a następnie Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Malarstwo i grafikę studiował w pracowniach prof. prof. Rafałowskiego, Jurkiewicza, Rudzińskiego i Nacht-Samborskiego dyplom uzyskując w 1967 roku.

Dokończenie na str. 5

**W  
N  
U  
M  
E  
R  
Z  
E**

### SŁOWO O LITERATURZE

Stanisław Jan Królik

### GRANICA

Pocieja

### SPOTKANIE ZE SZTAUDYNGEREM

Czesław Kuriata

### Z PIECA NA ŁEB?

Zygmunt Mikulski

## BEZ MATURY CIĘŻKO ŻYĆ

Maciej Podgórski

**N**IE mogę powiedzieć, że w domu rodzinnym nie miała warunków do normalnej nauki, choć ojciec był tylko droźnikiem. Ale były błędy młodości i przerwałam w dziewiątej klasie, a następnie skończyłam tylko dwuletnią szkołę pielęgniarstwa i już trzynastą lat pracuję jako pielęgniarka. Zaczęłam od 950 zł miesięcznie, teraz, jak doliczyć dodatek zmianowy, wysługę lat i godziny nadliczbowe, wychodzę na 2900 złotych. Mąż ma średnie wykształcenie, pracuje w branży budowlanej jako umysłowy.

— Ma pani zawód, niezłe zarobki, co więc się stało, że podjęła pani zaoczną naukę w szkole średniej?

— W szpitalu gonią, żeby każda pielęgniarka miała maturę. Do zawodu przychodzi coraz więcej młodych dziewcząt z wykształceniem średnim, trudno będzie się utrzymać bez matury. Szpital, nie mogę powiedzieć, ułatwia sprawę, daje pracę jednozmianową, mniej dyżurów nocnych, załatwia żłobki i przedszkola.

— Ale jednak przerwała pani naukę w liceum korespondencyjnym...

— Powód siedzi przed panem — pokazuje kilkumiesięczne dziecko, które usadowiła na kolo-

nach i w czasie naszej rozmowy podkarmia tartą marchewką. — Nie zgłosiłam się na egzamin semestralny, bo akurat wypadło mi rodzic. Teraz jestem już po urlopie macierzyńskim i pracuję tylko na popołudniową zmianę. Mąż wraca z roboty i zajmuje się dziećmi, mamy jeszcze dwójkę w wieku przedszkolnym. Nianki nie wezmę, bo muszę oszczędzać na wkład do spółdzielni mieszkaniowej. I tak się szpera, pożyczki, dodatkowe prace, rodzice na rencie, więc nie mogą pomóc. Ale od stycznia chyba rozpocznę znowu naukę. Nie będzie łatwo; dzieci spać, a ja przy nocnej lampce w tym jednym pokoju! Po maturze będę sobie spokojnie pracowała, więc muszę...

Zeby odbyć następną wizytę, wspinałam się na trzecie piętro starej kamienicy w śródmieściu Lublina. Osoby, z którą chciałbym rozmawiać, nie ma w domu. Jest jej matka i babka. Mieszkają w jednym pokoju, bez kuchni. Ciężka. Dwa łóżka, stół, maszyna do szycia, parawan, za którym mieści się część kuchenna. Całe mieszkanie.

Dokończenie na str. 9

**POLSKA  
1973**

## Nowa Limanowa

Miroslaw Derecki

**L**IMANOWA ma w herbie róg myśliwski i topór, ale teraz powinno się chyba jeszcze domalować na tarczy maszynę do liczenia. Zagubione do niedawna gdzieś między Myślenicami a Nowym Sączem, wśród gór Beskidu Wyspowego miasteczko, wybiło się na pierwsze miejsce w kraju zdobywając tytuł „Miasta Gospodarności” w 1972 r., a teraz sięga po laury w specjalnym konkursie zorganizowanym dla dotychczasowych mistrzów.

Z okien zabytkowego dworku Marsów, gdzie znalazło pomieszczenie Muzeum Regionalne, rozciąga się widok na Limanową. Stolica powiatu przysiadła w malowniczej dolinie, nad trze-

ma potokami, u podnóża Lysej Góry. Tej samej, na którą z dawien dawna zlatują się na miotłach i lopatach czarownicy z całej Polski. Kierownik muzeum, profesor Józef Staniszewski, na fakt istnienia czarownic zgadza się tylko jako zapalony regionalista i zbieracz ludowych podań, ale zaraz dodaje, że dla niego o wiele ciekawsze jest to, iż tutaj, pod Limanową, urodził się jeden z najwybitniejszych szesnastowiecznych alchemików, Michał Sędziwój. Człowiek, który przemierzył całą Europę w poszukiwaniu metody zamieniania ołowiu w złoto, autor dzieła „Preparowanie eliksiru filozoficznego”.

— Tylko — żartuje profesor — czego nie udało się osiągnąć naszemu znakomitemu znawcy nauk tajemnych,

tego współcześnie dokonało w Limanowej rozumne ludzkie działanie i społeczna inicjatywa. My wprowadziliśmy również nie znaleźliśmy, ale za to nauczyliśmy się wykorzystywać i pomnażać każdą złotówkę. A stąd już prosta droga do dobrobytu.

Staniszewski, z zawodu nauczyciel matematyki, przybył do Limanowej i rozpoczął pracę w miejscowym liceum dwadzieścia sześć lat temu, kiedy miasteczko leżało jeszcze w powojennej ruinie.

Atuty współczesnej Limanowej to przedsiębiorczość, pomysłowość i konsekwencja. To również umiejętność

Dokończenie na str. 8



Fot. Z. Kupiec



# SŁOWO O LITERATURZE

Stanisław Jan Królik

**T**EMAT: „Sytuacja młodej literatury” jest w polskiej publicystyce literackiej tym, czym dla Anglika w okresie kanikuły wąż morski z pewnego jeziora. W takim sensie, że od końca lat pięćdziesiątych pojawia się bezustannie na łamach czasopism — bez względu na ich profil — ciągle jako problem do rozwiązania. O sytuacji młodej literatury prowadzi się dyskusje, trwają spory, wystawiane są diagnozy, pojawiają się postulaty, jak zarządzić nienormalnej sytuacji. Mimo tego szumu wszelkie realizacje są zwykle opóźnione o wiele lat. Tak np. główny postulat lubelskiego I Zjazdu Młodych Pisarzy (rok 1966) — postulat powołania pisma młodych — zrealizowany został dopiero w roku 1972, w zupełnie innej sytuacji społecznej-politycznej.

Niechaj chwilowo wystarczy tyle tła, które — trzeba przyznać — nie nastraja zachęcająco do podejmowania generalnego problemu młodej literatury. Istnieje jednocześnie potrzeba, a usprawiedliwieniem i podnieciem jest artykuł Janusza Maciejewskiego na łamach „Literatury” (nr 42 z 18.X.1973) pt. „Sytuacja młodej literatury”. Artykuł kończy się zdaniem: „Konkretnie propozycje — myślę — przynieść może dyskusja, którą chciałbym tym artykułem zainicjować”. Wypowiedź Maciejewskiego jest o tyle bardziej znacząca od uprzednich sygnałów, że pochodzi od członka Komisji Młodzieżowej Zarządu Głównego ZLP, który — jednocześnie — zajmuje się historią literatury i posiada w związku z tym perspektywę potrzebną do oglądu dzisiejszej rzeczywistości literackiej.

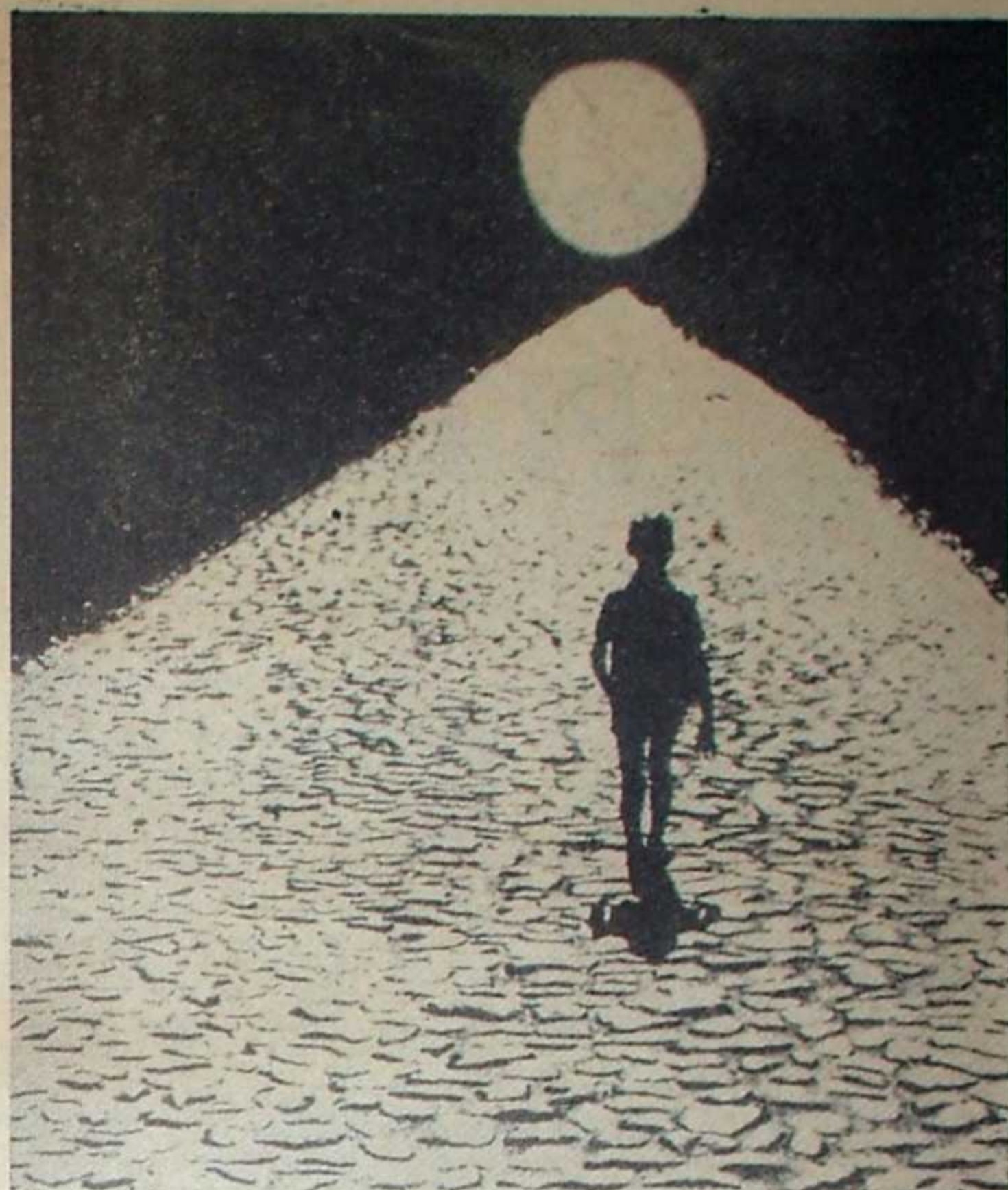
Idąc wytyczonymi tropami będę się starał jednocześnie formułować własne opinie. Maciejewski prezentuje dwa przeciwstawne sądy, dotyczące możliwości debiutu. Tak więc, jeżeli „młodzi” narzekają na trudny start, latami muszą czekać na druk pierwszej książki (tu jest już chyba wyjaśniony cudzołóstwo obejmujący wyraz: młodzi), to „starsi” (czytaj: członkowie ZLP, szczególnie ze stażem przedwojennym) „dostrzegają przede wszystkim honoraria, które ci otrzymują za najmniejszą publikację”. Dostrzegają wszelkie formy pomocy. Nawiasem mówiąc, w ubiegłym roku najbardziej skrupulatnym buchalterem okazał się pewien Czigodny Skamandryta, znany ze wspomnień, w których wyliczał, ile to złotych polskich (przedwojennych) pacholeciem literackim będąc za teksty piosenek otrzymywał.

Faktem jest, że nie stanowi większej trudności wydrukowanie pierwszego utworu i — tym samym — zakwalifikowanie się do „młodych”. Faktem

jest również statystyka: na około 1200 członków ZLP tylko kilka osób nie przekroczyło trzydziestego roku życia. Można z tego nie robić tragedii. Można powiedzieć: pisz nie będąc zrzeszonym w Związku. Tu pytanie: jak? Przy starej technologii trudno bowiem uzyskać nowoczesny produkt, bez względu na to jaką pracę się wykonuje. Warto przypomnieć: dwa najlepiej znane „przewroty” literackie w Polsce zaczęły się od ataków „młodych” przeciwko „starym”. Atakiem „nowego” było wystąpienie Mickiewicza, atakiem Świętochowskiego z wyartykułowaną opozycją: „młodzi” — „starzy” rozpoczął się pozytywizm. Młoda Polska „konstytuowała się” w wypadach przeciwko wielkościom uznanym (np. przeciwko Sienkiewiczowi). Przyboś napisał „Chamury poezji” godzące szczególnie w Kasprowicza i Żegadłowicza. Poeci wojenni zwalczyli Skamandrytów. Od pokolenia „Współczesności” rzecz ma się inaczej. Już wcześniej znane było zjawisko wyszukiwania sobie przez młodych patrona spośród żyjących, a uznanych pisarzy (np. poznański „Zdrój” miał go w osobie Przybyszewskiego), ostatnimi czasy było to jednak zjawisko nagminne. Tak więc tzw. pokolenie „Orientacji” zasłaniało się Julianem Przybyszem nierzadym teraź.

O ile niektóre z wymienionych ataków pozostały bez wpływu na czytelnictwo uznanych wcześniej autorów, to współistniały one jednak z krystalizowaniem się nowych formuł literackich. Możliwe to było ze względu na istnienie pism niezależnych od uznanych wielkości. Natomiast długotrwałe terminowanie, nawet u najznakomitszych pisarzy, prowadziło — w najlepszym wypadku — do doskonalenia rzemiosła warsztatowego i — w dalszej perspektywie — do jałowienia całej literatury.

Powstał zupełnie nieznan dotychczas fenomen: oto „młodzi” zaczęli prowadzić wojny między sobą zamiast — jak to miało dotychczas miejsce — z pisarzami egzystującymi w świadomości czytelnictwa. Wydawać by się mogło, że jest to paradoks spowodowany jedynie tym, że nie mając własnej trybuny nie mogli (wzlokatorzy) występować przeciwko własnemu gospodarzom. I tak np. we „Współczesności” krytykować utworów redaktorów tego pisma itd. Jest to jednak prawda połowiczna. Niemożność dotarcia do szerszego czytelnika, wydłużenie przymusowej poniekać „młodości” nie zahamowało wcale przemian w środowisku młodoliterackim. Powstawały znaczne nieraz rozbieżności wśród piszących, a nawet po debiucie ciągle



Fot. Archiwum

jeszcze nieoficjalnych, prywatnych pisarzy. Znana jest powszechnie prawda, że świat zmienia się obecnie znacznie szybciej, niż siedemdziesiąt, sto lat temu. Dotyczy to również literatury. Jeżeli młody nawet wiekiem pisarz pozwoli sobie na skostnienie — wypada z grona awangardy. Może natomiast pisarz starszy wiekiem być „młodym pisarzem” w sensie wnoszenia nowych wartości. Nie widzę w tym nic złego. Na tym — wydaje mi się — polega właśnie obecny rezonans twórczości Witolda Gombrowicza, który z jednej strony skazany był na „młodość” przez utrudniony znacznie kontakt z czytelnikiem, z drugiej zaś ową „młodość” wybierał w bezustannym poszukiwaniu nowych, jeszcze nie znanych obszarów i — wreszcie — poddając się nieustannej samokontroli porzucał swoje wczorajsze myśli na rzecz bardziej aktualnych.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, że potwierdziła się ostatnio zależność pomiędzy przemianą w życiu społecznym a literaturą. Mimo że nie miała ona bezpośredniego wpływu na artystyczny kształt literatury, to pozwoliła uzewnętrznic się nowym tendencjom. Nie wystarczy bowiem dobre chęci krytyków. Muszą powstać warunki, które pozwolą „nowemu” wyjść z prywatnych bibliofilskich druków na szersze wody. Dlatego też zarówno „Nieufnych i zadufanych” Stanisława Barańczaka, jak i publicystykę „Studenta” oglądam jako skutek, a nie przyczynę przemian w roli młodej literatury. Jeśli jesteśmy już przy publicystyce „Studenta” to trzeba podkreślić rozumny mecenat Zrzeszenia Studentów Polskich, które

do swoich licznych inicjatyw kulturalnych dołączyło tę znaczącą pozycję wydawniczą, tak jak uprzednio patronowało wrocławskiej „Agorze” i warszawskiej „Orientacji”. Dwanaście numerów niesystematycznie wydawanej „Orientacji” pozwoliło — głównie publicystom z nią związanym — rzucić termin: pokolenie „Orientacji”. Widać z tego, że nakłady na młodą literaturę nie muszą być wielkiego rozmiaru. Sprawa polega raczej na okazaniu zaufania i zapewnieniu minimum warunków do ukazywania się pisma i — to ważne — zapewnieniu gotowemu piśmu normalnego kolportażu.

Jeszcze jedna sprawa do podkreślenia, to konieczność związku młodej literatury z całą młodą myślą naukową i kulturalną. W ten sposób zachowany będzie związek ze społeczeństwem przyszłości przy naturalnym związku z teraźniejszością i jej potrzebami. Literatura jest tutaj hasłem wywoławczym, ponieważ nie ma obecnie mowy o jakichś ścisłych rygorach w sztuce. Tak np. tzw. poezja konkretna jest bliższa językowej plastyce niż literatury.

Sytuacja, w której młoda literatura jest ciągle „chłopcem do bicia”, jest sytuacją nienormalną. Przypomina ona nie tak przecież dawne biadolenie starszych muzyków i muzykologów nad nowymi trendami w muzyce. Dzisiaj wiadome jest, że prawdziwe wartości pozostaną; pozostaną bez względu na dopływ świeżego oddechu. Ba, jego dopływ ułatwia nawet kontakt muzyce „poważnej” z szerszym kręgiem odbiorców. Dopinguje wreszcie do ciągłego poszukiwania nowych wartości, do rozwoju.

**W**MUZEUM Okręgowym w Lublinie otwarto wystawę „Sztuka ludowa środkowej Lubelszczyzny”, zorganizowaną przy udziale Wydziału Kultury Prezydium WRN, STL, CEPELIA w Warszawie. Gromadzi ona efekty konkursu, ogłoszonego w ramach kampanii „Kultura ludowa dobrem narodu”. W konkursie brało udział 81 twórców, którzy nadesłali 740 prac, inkasując nagrody o łącznej wysokości 37 500 zł; udział w konkursach dla zwykłej ludzkiej satysfakcji nie wchodzi dziś już w rachubę.

Na wystawie pokazano sporo rzeczy pięknych, dowcipnych w wyrazie, oryginalnych. Wśród tych pierwszych wymienić należy „pajaki” Marii Abramek z Chmielowa w pow. parczewskim (II nagroda) i barwne kwiatomiotelki Józefy Pidek z Bychawki w pow. by-

chawskim. Organizatorzy informują lojalnie, że te wszystkie ładne rzeczy, przypisane do plastyki obrzędowej, w większości wykonane zostały na konkurs; na co dzień nikt sobie na wsi tym głowy nie zawraca, mając do dyspozycji plastikę i drwiącą presję młodego pokolenia.

Zwracają też uwagę ciemne dzbany i czerwone doniczki (?) Tomasza Filipczuka z Pawłowa w pow. chełmskim, laureata I nagrody w dziale ceramiki. Przepisujemy z planisy informacyjnej: kiedyś w tym rejonie Lubelszczyzny działały 34 ośrodki garn-carskie, dziś istnieją tylko trzy — w Pawłowie, Baranowie, Michowie.

Garnki innych autorów nie mają wiele wspólnego z ludowością, ale są dosyć oryginalne, a nawet zastanawiają współczesnością funkcji: jeden przypomina kokilkę.

W metalowych lichtarzach Bronisława Pietraka (II nagroda) dopatryliśmy się mistrzowskiego warsztatu i znacznego zmysłu plastycznego, bezradnie poszukując ludowości. Takie czasy, nie ma rady. Zresztą kowali mało na Lubelszczyźnie.

Podobała nam się również rzeźba, szczególnie zaś śmieszne, lecz i niezłe zbudowane postaci Tadeusza Szulca (III nagroda) oraz jeszcze ciekawsze figury Stanisława Szulca (II nagroda)

z Woli Korybutowej w pow. chełmskim, no i zupełnie już egzotyczne prace R. Buczka z Czulczyc w tymże powiecie.

Natomiast malarstwo ani śmieszne, ani interesujące, ani oryginalne; na szczęście mało go.

Warto jeszcze obejrzyć tkactwo, rozwijające się głównie w trzech powiatach: włodawskim, parczewskim i lubartowskim (I nagroda dla Aleksandry Więch z Suloszyna w pow. lubartowskim), oraz piecionkarstwo (I nagrodę otrzymał Władysław Bakun z Krasnego w pow. parczewskim).

W sumie wystawa warta obejrzenia, przejrzysta informacyjnie, zalecająca się dobrą ekspozycją zgromadzonych prac.

## PAJAKI W MUZEUM

# BOJE O STUDENCKĄ PIOSENKĘ

Jacek Grün

**G**DY pytają mnie o lubelską piosenkę studencką, to albo staram się zmienić temat, albo udaję, że nie dosłyszałem. A pytano w Krakowie na ostatnim Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich, pytano — tak przy okazji — na Jazie nad Odrą we Wrocławiu.

Przypominam to w związku z kolejnym atakiem na kompletny brak jakże popularnej dziedziny życia muzycznego studentów. Mieliliśmy inicjatywę w klubie „Arcus” — kończyły się występami trzech osób; były próby uruchamiania klubów piosenki — koncepcje rozbiły się o brak odpowiednich „tekściarzy”, kompozytorów, wykonawców itd. Pod koniec października odwiedziłem miejsce kolejnej walki (a tak! walki!) z marazmem — klub „Szprycha”, miejsce okupowane przez studentów nowych wydziałów UMCS — Pedagogicznego i Muzycznego. Któż inny, jak nie ludzie studiujący muzykę, a jednocześnie żyjący w świecie pełnym najnowszych zestawień dźwięków, potrafia docenić ruch w interesie? Nadzieje były zatem duże. Październikowa Giełda Piosenki. W spisie wykonawców siedemnaście osób. Tego jeszcze, jak pamiętam, nie było. Wszystkie utwory — zgodnie z regulaminem — kompozycje własne. Dopuszczano jedynie obce teksty. Wśród wykonawców jednak zaledwie dwie osoby studiujące na Wydziale Muzycznym — oto i pierwsza niespodzianka. Potem przyszły następne: lepsze i gorsze głosy, lepsze i gorsze umiejętności muzyczne. Podstawowe instrumenty — gitara i w jednym przypadku fortepian. Nie będę się wdawał w szczegółowe informacje o tym: kto i co, podzielię się tylko z czytelnikiem osobistymi wnioskami z konkursu.

Panuje u nas niczym nie uzasadniony pogląd, że jeśli piosenka jest kombinacją trudnego tekstu poetyckiego i muzyki ad libitum, to będzie ona zapewne ambitna. Po drugie, że jeśli weźmie się znany tekst sławnego poety (choćby Staffa), to przy potędze słowa zniknie bładość muzyki. Nic bardziej mylnego i w jednym i w drugim przypadku Powie ktoś, że nie trzeba powtarzać banałów. Widocznie trzeba, jeśli od lat zasady te wyznają

studenci kompozytorzy i wykonawcy własnej muzyki.

Zapamiętałem się niegdyś na gwiazdy tej miary, co Ewa Demarczyk. Zapamiętałem do dzisiaj sukcesy krakowskiej szkoły piosenkarstwa i trzymamy się rękami i nogami utartych (choć jeszcze w całości nie przetartych) ścieżek konwenansów i umownych struktur. Wystarczy przecież ocenić możliwości głosowe tamtych, przyłożyć swoje i nie tworzyć sytuacji podobnych do tej, w której gruba pani wkłada mini-spódniczkę. Śmieszne to i zdrowiu na dobre nie wyjdzie.

Otóż, pomijając już te niezręczne sytuacje, prawie wszystkie kompozycje przedstawione w klubie „Szprycha” oparte były na identycznym prawie schemacie harmonicznym i metodycznym. Przeważnie smutne, jakże smutne myśli, tęsknoty, niespełnione oczekiwania wylały z kątów klubu. Ambitny sposób śpiewania ekwiwalentny z nudą i sztafą, zmagania z gitarą, która — chociaż nie elektryczna — ani rusz nie chciała sama grać, a wprost przeciwnie — sprawiała kłopoty swoim panom. Gdy na zakończenie pojawił się Janusz Wroczyński, utalentowany piosenkarz i kompozytor, jedyna godna uwagi postać, nie potrafiliśmy okazać należnego zainteresowania trudną muzyką do słów Rafała Wojaczka, bo — po prostu — byliśmy zmęczeni i znudzeni.

Proszę się nie dziwić, że — wbrew obietnicy — zabawiam się w szczegółowe penetracje. To jest reguła, to wszystko przedstawia obecny poziom studenckiego piosenkarstwa w Lublinie, jest jak gdyby komasacją różnych wniosków z podobnych imprez. Założenie organizatorów, by taki przegląd organizować raz w miesiącu i estradę klubu „Szprycha” zamienić w wyęgarnię lubelskich talentów, jest ze wszech miar godne szacunku. Obawiam się tylko, czy na trzeciej lub czwartej giełdzie nie zobaczymy tych samych twarzy? Jeśli natomiast laureaci nie będą mogli wystąpić ponownie w konkursie — jak to zaplanowano — czy na piątej imprezie nie



Fot. A. Zdebiak

będzie musiało wystąpić kierownictwo klubu?

Dziwi w tym wszystkim jeszcze jedno: największym bowiem klubem jest „Arcus”, tam są znakomite pomieszczenia, dużo przestrzeni i marka w końcu wyrobiona. Tymczasem w „Arcusie” pusto i nudno, nie się nie dzieje, rusza pełną parą konkurencja — mieszczący się obok klub „Szprycha”. O ile mi wiadomo, to nawet część osób pracujących niegdyś w „Arcusie” zmieniła w tym roku akademickim adres.

Po giełdzie w wąskim gronie wyłonił się problem-pytanie: co dalej stanie się z tymi, którym dzisiaj wręczono nagrody, uznając tym samym ich predyspozycje do działalności piosenkarstwa. I tu tkwi chyba to, nad czym tak wszyscy zastanawiamy się i bojemy. Laureaci wszystkich spotkań pozostawiani są swojemu losowi; tzn. jeśli mają mocne nerwy i świadomość własnej wartości — nagrywają w Polskim Radio i czekają na sukces, albo pakują walizki, zatapiając formalności na uczelni i... tyle ich Lublin widział. Niestety, ani miasto, ani tym bardziej środowisko studenckie nie potrafi zapewnić im żadnych warunków, jakich wymaga kielkujący talent. Kierownicy placówek kulturalnych boją

się recitali jak diabeł święconej wody. Dlaczego? Trzeba być kierownikiem, żeby to zrozumieć.

Zacząłem od recitali czyli efektu, należało jednak najpierw wyjść od elementów składowych dających udany występ, a więc od warunków do uczenia się „śpiewu”: dykcji, regulacji barwy głosu, „ustawienia” głosu, ciągłej nauki muzyki czy wreszcie gestu scenicznego. Nic takiego nie istnieje i istnieje nie będzie, dopóki jakiś o dobrą piosenkę nie zostaną zamienione w konkretne decyzje i ich realizacje. Tylko, że pojęcie można sobie za darmo, albo w pracy, gdy szef nie widzi.

Spieszę zabezpieczyć się od głosów tego typu: Oni, ci młodzi, zmanierowani już piosenkarze, nie chcą pomocy, są leniwi, idą po najmniejszej linii oporu, byle do telewizji. Nietrudno chyba odgadnąć autorów takich koncepcji — są nimi przecie ci, którzy powinni, a przez gnuśność nie chcą, zając się szkoleniem młodych kadr. I tu pozwolę sobie na kolejną dygresję: nie tylko do środowiska studenckiego odnieść można owe zarzuty, nie tylko do piosenki studenckiej. Popatrzmy od tej strony na cały Lublin, na te dziesiątki piosenkarzy i zespołów, a potem dopadnijmy „gnuśnych”, i zarobimy, zakopmy, nie piszmy, gdzie spoczywają

**P**IĘTNASTCIE lat temu przy ulicy Czwartaków w Lublinie wzniesiono budynek Szkoły Podstawowej nr 6 — po wyburzeniu bunkrów, które znajdowały się na tym terenie. Od tego czasu przez szkołę przewinęły się tysiące uczniów i dziesiątki delegacji ministerialnych, niejedyn pedagog z zagranicy sprawdzał swoją opinię o polskiej oświacie właśnie na terenie „szóstki”, która wprowadzała w życie, sprawdzała i — co tu dużo mówić — użerała się z kolejnymi koncepcjami unowocześnienia systemu edukacji i wychowania. „Szóstka” dzielnie znosiła wszelkie nowe pomysły, wydumane w zaciszu akademickich gabinetów, a zarazem z anielską cierpliwością stosowała oraz rozwijała faktycznie wartościowe idee dydaktyczne.

Od kilku lat jest szkołą ćwiczeń, blisko związaną z UMCS. Jej absolwenci bez trudu dostają się do szkół średnich, nie tracąc, co jest zjawiskiem raczej niezwykłym, kontaktu z ży-

ciem budynku, ukrytego za dzielnicą uniwersytecką. Będąc uczniami liceów, znajdują jeszcze czas na prowadzenie drużyn harcerskich „szóstki”, na dopisanie swoich o niej wspomnień do innych publikacji, zamieszczanych w drukowanym „Uczniaku”. Ta szkoła wychowuje i uczy dobrze, o czym niech świadczy fakt, że spośród 870 uczniów w okresie 1972/73 tylko trzech powtarza klasę.

Niewątpliwie, udział szkoły w przeróżnych eksperymentach dydaktycznych, wysoko kwalifikowana kadra pedagogiczna i bliskie kontakty z uniwersytetem wywindowały „szóstkę” na wysokie miejsce w hierarchii lubelskiego i krajowego systemu oświaty podstawowej. I te właśnie momenty akcentuje się w trakcie oceny szkoły, z odrobiną żartobliwej, może nawet z ironią, wskazując dodatkowo na fakt wojskowego patronatu nad „szóstką”, który rzekomo automatycznie likwiduje spór przecznych, lecz uciążliwych kłopotów. Co prawda to prawda: orkiestra wojskowa przygrywa na akademiach, a żołnierze ze służby obowiązkowej w czynnie społecznym zasadzili drzewka wokół budynku i urządzili harcówkę. Prawda jest jednak, że wielu szkółom lubelskim patronują wielkie i zamowne zakłady pracy, przy których

swoiste bogactwo wojska jest skromnym, chędogim przyodziewkiem.

Gdzieś jednak w tym miejscu, w chwili szerszego spojrzenia na sytu-

my ze szkołą wspólnie odpowiedzialni za losy młodego pokolenia. Odnosi się to szczególnie do odpowiedzialności rodzicielskiej.

## W LUBELSKIEJ „SZÓSTCE” Wspólna

cję szkoły, dostrzec można jeszcze jedno źródło jej sukcesów, sygnalizujące zresztą ogólniejszą problematykę polskiej oświaty, skonkretyzowaną podczas niedawnej debaty sejmowej nad reformą systemu szkolnego. Przypomnijmy słowa Piotra Jaroszewicza:

Reforma systemu szkolnego przyniesie spodziewany efekt tylko wtedy, gdy społeczeństwo stanie się w możliwie największym stopniu społeczeństwem wychowującym, kiedy wszyscy będzie-

Rodzice jako wychowawcy własnych dzieci, rodzice jako partnerzy i pomocnicy szkoły — ile na tych liniach narosło napięcia, ile nieporozumień i wręcz konfliktów przyniosły próby realizacji idei społeczeństwa wychowującego. Szkoła oczekująca wsparcia ze strony rodziców, ci zaś spychający cały ciężar nauczania i wychowania na nauczycieli — oto schemat sytuacji, która do niedawna określała wiadomo sprawę. Dodajmy: sprawę skomplikowaną, często niezależną od dobrej woli i świadomości jednej czy drugiej strony, korzeniami tkwiącą w ogólniejszej sytuacji społeczeństwa polskiego lat sześćdziesiątych.

**Z**A tą górą będzie figura, a za figurą będzie Zagóra — powiedziano mi w Krasnobrodzie, gdy pytałem o drogę do tej osady, której wkrótce nie będzie na mapie, a wsią nazywać ją będą tylko stare dokumenty. Bo i cóż to za wieś? Trzy chałupy, sześćdziesięć mieszkańców, w tym jedno dziecko, jeden koń, dwie krowy, dwa psy z wiejskiego nawyku, a może z wielkiego lęku przed obcymi, których tutaj widuje się rzadko, czekające głośno i zjadale, dopóki przybysz nie opuści zagrody.

Za ową figurą-drogowskazem samochód skręca w piaszczystą drogę, której z jednej strony towarzyszy piękny las, z drugiej niewielkie pole. Jest pięknie. Daleko piękniej, niż w reklamowanym jako urok natury Krasnobrodzie. Wzgórza, droga wiodąca krętym wąwozem i ten las, jeszcze w barwach jesieni, a już gęsto przy-sypany śniegiem.

Na skraju wsi stoi lepianka — suszarnia chmielu, obok wynędzniałe zabudowania. Na łące pokrytej śniegiem staruszka pasie krowę. Mijamy się w dość dużej odległości i to jest, jak się dowiaduję potem od sąsiadów, bardzo szczęśliwe dla mnie, ponieważ staruszka — Ewa Skłowska — ma zwyczaj bez powodu obrzucać turystów, znajomych i przechodniów najgorszymi wyzwiskami. Dlaczego? — pytam. Wojna — odpowiadają krótko: hitlerowcy zabili jej brata, który był w partyzantce, drugi brat umarł po wojnie, została sama, pomyłona, wypełniona nienawiścią do ludzi. Nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie. I tak już pozostanie. Sama, opuszczona jak ta wieś, która od wojny zna tylko pożegnania z ludźmi.

Jedynym mężczyzną w Zagórze jest Kazimierz Mielnicki. Pyta, czy przyjechałam w sprawie tej wariatki, bo tu już bywali z gminy, telewizja nawet coś kręciła... Mały zły pies obwąchuje moje nogi, a gospodarz mówi: no, możemy wejść do domu, ponuchal, już nie będzie czekać. Dziecko gospodarza, trzyletni Mirek, szoruje po podłodze samochodem — wywrotką,

# Winien Paryż...

Maria Brzezińska

Zabawka jest okazała i nowa, jedyna nowa rzecz w tym wnętrzu. Gospodyni przeciera ścierką rozmarzające okna, z dachów kapie, w mieszkaniu chłodno.

— Wieś nigdy nie była duża — mówi Kazimierz Mielnicki. — Przed wojną było tylko osiem chałup, ale ludzi ilu! Burbeckie, Laliki, Semakowa, Kostrowie, a w każdej chałupie po pięćdziesięciu, siedmiu dzieci. Wieś żyła. Było wesoło, chociaż tak jak i teraz nie było światła.

Zagóra oddalona jest od Krasnobrodu zaledwie półtora kilometra. Cała gmina jest elektryfikowana, tylko tu brak światła. Nie oplaca się, słyszę odpowiedź. Dla tych trzech chałup? Nie

oplaca się ani doprowadzić światła, ani utwardzić drogi. Ziemia tu marna, piaszczysta, las rzuca cień na pole, a co urosnie, to dziki zryją, sarny wyjedzą. Dlatego ludzie stąd uciekali. Jeden z braci gospodarza z Zagóry mieszka w Chełmie, drugi brat i siostra w Cześnikach koło Zamościa, gdzie ziemia urodzajna, gospodarstwo ładne.

kam w myśli określenia, jak nazwać przyczynę tego wyłączenia, odłączenia, tak, aby nazwa mówiła o całym zjawisku bez tych wszystkich sztamkowych „potrzeba usług cywilizacyjnych”, „dążenie do wykształcenia”, „uczestnictwo w dobrach kultury”, bo to wszystko prawda, tylko coś nie tak.

I nagle mam: „Wszystkiemu winien jest Paryż”. Taka piosenka słyszana gdzieś niedawno. Biednym ludziom byłoby dobrze żyć nawet w tajdze, gdyby nie było Paryża, gdzie światła, muzyka, piękne budynki, lepsze życie.

Dla Zagóry Paryżem był Krasnobród i to już przed wojną, ponieważ właściciel majątku miał własną elektrownię, która pozwalała na częściowe oświetlenie miasteczka. No a teraz? Teraz Paryżem jest każda zamożniejsza wieś, do której asfaltową szosą przyjeżdża autobus, a telewizja pozwala być z granicą prawie codziennie. Dlatego ktokolwiek zobaczył szansę dla siebie poza Zagórą — odchodził. Zostali tylko ci, którym nie pora już snuć plany życiowe...

W ostatniej chałupie pod lasem mieszkają dwie kobiety: osiemdziesięcioletnia Aniela Szabatkowska i jej córka Bronisława. Utrzymują się z renty, a jedyny kawałek ziemi to ten ogród przed oknami. Domek jest pomalowany na niebiesko, w oknach czerwone pelargonie. Kobiety zauważyły mnie — tu obserwuje się każdego przybysza długo i dokładnie. Jedna z nich wyszła na ganek, ale nie zapytała, nie popatrzyła tylko jak w płaskich półbutach brodzić w śniegu po kostki.

Dokończenie na str. 7

## Nagroda dla Jana Popka

Dokończenie ze str. 1

Miał wystawy indywidualne w Zamościu (1967) i Lublinie (1971, 1973), uczestniczył w następujących wystawach ogólnopolskich: Ogólnopolska Wystawa Malarstwa Młodych w Rzeszowie (1969 — Dom Sztuki), V Jubileuszowy Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie (1970 — nagroda), Ogólnopolska Wystawa Malarstwa, Grafiki i Rzeźby Młodych (Sopot, 1970 — nagroda), „Portret Człowieka” (Warszawa — 1971 — „Zachęta”), „Przeciw Wojnie” (Lublin — 1971 — Majdanek), „Jesienne Konfrontacje” w Rzeszowie (1972 — Dom Sztuki), „Kopernik — Kosmos” (Toruń, 1972), „Sygnal” — w ramach „Złotego Grona” (Zielona Góra, 1973). Brał udział w Festiwalu Młodej Grafiki w Bejrucie (Liban, 1967), w wystawie „Dziwięciu Malarzy Lubelskich” w węgierskim Debreczynie (1971) oraz w ekspozycji finałowej międzynarodowy plener malarski w Kazimierzu (1973).

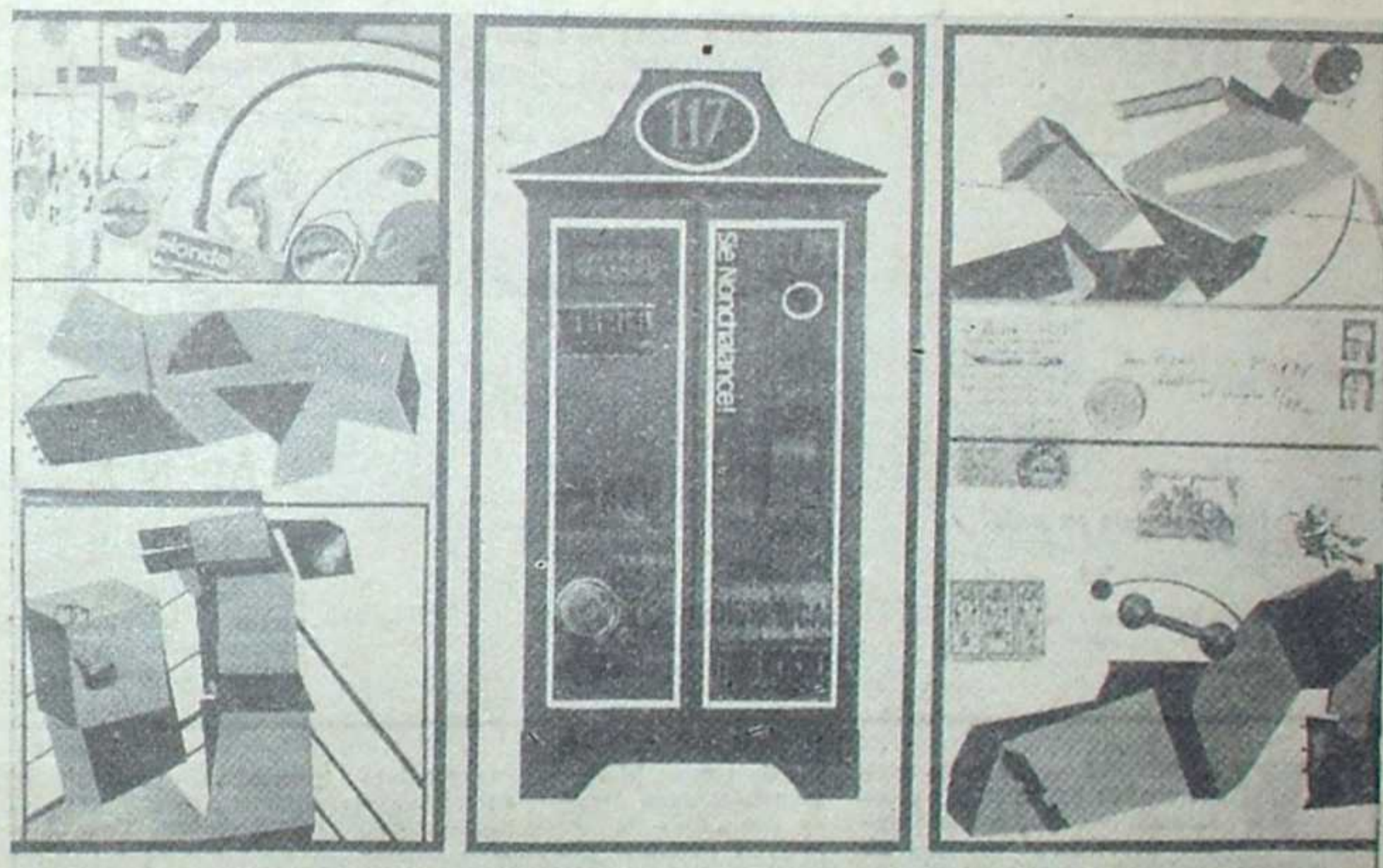
Doroczna Plastyczna Nagroda Lubelszczyzny preferuje twórczość artystów młodych. Przyznając ją Janowi Popkowi, jury zwróciło uwagę nie tyle na kwestie metrykalne, co na niekłamną młodość malarstwa tego autora, wyrażającą się w bezpośrednim, nie skrępowanym konwencjami plastycznymi spojrzeniu na rzeczywistość humanistyczną i jej skomplikowane problemy. Popkowi nie wystarczy ten zespół środków wyrazu, którymi posługuje się malarstwo. W precyzyjnie zbudowane kompozycje wprowadza teksty, wierszowane opisy własnych przeżyć, niepokojów i radości. Albowiem „Jan jest poeta, który trafił w rejony malarstwa. Jan jest malarzem, który chciałby żyć według zasad stworzonej przez siebie poetyki.”

Janowi Popkowi — serdeczne gratulacje!

Charakter twórczości autorów, którzy dotychczas zostali wyróżnieni Nagrodą, pozwala na stwierdzenie, że premieje ona rzeczywistości współczesne zjawiska artystyczne, wyróżniające moralne i ideowe postawy młodego pokolenia twórców. Nagroda

funkcjonuje więc zgodnie z nadziejami i oczekiwaniami jej inicjatorów oraz samych twórców związanych z Lubelszczyzną — tych najbardziej prężnych i uwrażliwionych na sprawy dzisiejszego człowieka.

K.



Jan Popka „Niekóre wydarzenia z 62 roku”

Fot. J. Demidowski

Wydaje się, że właśnie w obrębie lubelskiej Szkoły Podstawowej nr 6 kwestia wspólnej odpowiedzialności za losy młodego pokolenia doczekała się

klasy. Wszystkie te „ciała” działają na podstawie planów pracy i własnego wyczucia konieczności okazjonalnej interwencji. W rezultacie między rodzi-

wiele się nie patyczkując telefonuje do Jana Micha, Zenona Zablockiego, lub do Stanisława Milewskiego, twórczych szefostwo komitetu, i mówi w czym rzecz. W podobny sposób postępuje, jeśli zajdzie tego potrzeba, druga strona która w tym układzie nie jest właściwie stroną, lecz równorzędnym partnerem.

„A pod określeniem „rzeczy” kryją się całkiem istotne i nieraz trudno do rozwikłania sprawy. Wymienimy pokrótce, że poszczególne komisje komitetu przyłożyły swoją rękę do remontu kapitalnego parteru szkoły, konserwacji instalacji elektrycznej, remontu nawierzchni wokół obiektu, pomagały w akcji sadzenia drzew i krzewów ozdobnych, załatwiały wypożyczenie środków transportu, którymi dzieci pojechały na letnie i zimowe obozy, organizowały uroczystości i zabawy szkolne.

Jedną z komisji komitetu współpracuje z dyrekcją szkoły w skomplikowanej dziedzinie pedagogizacji rodziców. Dla ilustracji wymienimy kilka tematów prelekcji, które stanowią jedną z form tej działalności: „Stosowanie kar i nagród w wychowaniu, znaczenie tolerancji”, „Problem uczciwości i prawdomówności dzieci i młodzieży”, „Kłamstwo i lenistwo u dzieci”. Ponadto komisja ta pomaga w pracy związanej z reorientacją zawodową uczniów, współpracując odpowiednio spotkań, wycieczki do zakładów pracy etc. Rodzice wraz z

nauczycielami odwiedzają domy uczniów lekceważących regulamin szkolny i wykazujących mierne postępy w nauce. Dyrekcja szkoły systematycznie organizuje narady nauczycieli i pracowników Instytutu Pedagogiki UMCS z rodzicami dzieci mniej zdolnych, co przynosi oczekiwane rezultaty.

Naturalne więc, że Szkoła Podstawowa nr 6 im. R. Traugutta w Lublinie otrzymała właśnie jedną z sześciu równorzędnych nagród Ministra Oświaty i Wychowania, finalizujących ogólnopolski konkurs pod hasłem „Nasza szkoła jest przygotowana do nowego roku szkolnego”.

Jaka nauka płynie z doświadczeń popularnej „szóstki”? Chyba taka, że konwencjonalne struktury organizacyjne nie przeszkadzają dobrej robocie. Zależy ona bowiem bardziej od aktywnego poczucia wspólnoty dążeń i celów jej udziałowców, wspartego na zrozumieniu wagi problemu, niż od formalnych ustaleń. A w ludzkim środowisku lubelskiej szkoły łatwo dostrzec te elementy sukcesu.

## odpowiedzialność

Wacław Przybylski

rozwiązania, które nie mają pretensji do doskonałości, warte jest baczniejszej uwagi. Najciekawsze, że nie wymyślono w tej mierze nic nowego, działając w powszechnie stosowanych ramach organizacyjnych, obowiązujących każdą szkołę i jej komitet rodzicielski.

Komitet posiada swoje prezydium, komisje i tzw. rady klasowe, składające się z reguły z trzech osób — rodziców dzieci uczęszczających do danej

cam i szkołą istnieje żywy i bez przesady codzienny kontakt, co z kolei przynosi likwidację opozycji: nauczyciele — ojcowie i matki uczniów. Tak niby powinno być wszędzie, lecz wszędzie nie jest tak, jak być powinno, o czym nie ma chyba sensu przekonywać.

Brak bariery „instytucjonalnej” niweluje dystans personalno-psychologiczny. więc kiedy mgr Wanda Moskalowa, dyrektorka szkoły, widzi potrzebę natychmiastowej pomocy ze strony komitetu rodzicielskiego,

Kamena str. 5



# Znani i nieznanani

## „Wszystko zależy od mądrego szefa”

Ireneusz J. Kamiński

**P**ROWADZIŁ fabryczną służbę serwisową w Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii, Egipcie i Pakistanie, uczył sprawność maszyn rolniczych w różnych warunkach klimatycznych.

— W Pakistanie wysuszona słoma cięła się na sieczkę blokując młocarnię.

Przejechał kawał świata, sprawia wrażenie, jak to się kiedyś mówiło, człowieka bywałego, zdaje się nie mieć kompleksów przypisanych do inteligencji z pierwszego pokolenia i nie jest to chyba kwestia osobowości, jej cech wrodzonych.

— Na kino, teatr i książki nie mam czasu, więc żona narzeka. Jeśli jednak, to czytam publikacje na temat drugiej wojny, no i książki podróżnicze. Regularnie przeglądam gazety lubelskie, wśród czasopism najbardziej cenię sobie „Szpilki” i „Politykę”, od dechy do dechy czytam prasę techniczną, bo bez tego koniec zabawy w inżyniera, który ma coś do powiedzenia innym.

W roku 1968 skończył zaoczne studia na Wydziale Mechanicznym lubelskiej WSI i zaraz potem, mając 30 lat, został głównym konstruktorem Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych. Zakład przygotowywał właśnie produkcję zespołu żniwnego do kombajnu „Bizon”.

— Początkowo nie wychodziło, więc zbierałem „cieple” słowa, ucząc się życia na wyższym szczeblu.

Do zakładu przyszedł z maturą liceum ogólnokształcącego, uzyskaną w Kraśniku, skąd zresztą pochodzi. Został ślusarzem.

— Szlag mnie wtedy trafiał, bo inni pracowali w biurze, gdzie, wiadomo, praca czysta, w garniturze, pod krawatem, od siódmej do trzeciej. Tak mi się wtedy wydawało.

Z tym jego ślusarstwem nie było początkowo najweselsiej, o czym świadczą zachowane blizny na dłoniach, rezultat nieumiejętności i braku odpowiedzialnego dozoru ze strony mistrza.

— Na pierwszy raz dali mi wiercenie otworów. W rękawicy nie miałem czucia, jakoś niewygodnie było, zdjąłem więc, a tu wiór gorący spada, co robić, rzucam element, a ten sieje spustoszenie. Dostałby dziś mistrz za to po łbie!

Dwa lata pracował w akordzie, potem awansował na młodszego konstruktora, tracąc połowę dotychczasowych zarobków, lecz zbliżając się przecież do upragnionego statusu „białych kołnierzyków”. W tych swoich pragnieniach, ukształtowanych być może jeszcze w powiatowym Kraśniku, nie był odosobniony, podzielał je również młodzi technicy i inżynierowie, dla których „biuro”, a raczej „Biuro”, było synonimem lepszego świata.

Został konstruktorem, następnie starszym konstruktorem, ciągle kierowano go do uruchamiania nowych maszyn. Przyłożył swoją dłoń do produkcji konnego opylacza, bukownika, zmodernizowanej młocarni.

— Znasz warsztat, znasz produkcję od strony robotnika — mawiał mój ówczesny szef, główny konstruktor, kierując mnie przez osiem lat do tej roboty. Zaczęłam błogosławić te pierwsze dwa lata w zakładzie, kiedy stałem przy warsztacie.

Równocześnie uczył w szkole zawodowej. I teraz skutecznie kompromitował w oczach wychowanków mit biura; większość świadomie i z przekonaniem wybrała pracę w produkcji, także technicy.

— Bo klasa robotnicza czuje się dziś pewnie, co wyczuwa się nawet w ludzkiej atmosferze po-

szczególnych działów. Ale ten właśnie moment powstrzymuje młodych inżynierów, po studiach, przed podjęciem pracy w produkcji, gdzie całe otoczenie patrzy im na ręce, błyskawicznie wyłapuje potknięcia, luki w kwalifikacjach, dając zresztą temu wyraz w sposób bezpośredni, nie skrupowany kodeksem towarzyskim. W ogóle młody inżynier uznawany jest za „zielonego” i dużo go kosztuje wyrobienie sobie odpowiedniego autorytetu. Faktycznie w zakładzie nie tylko weryfikuje swoją wiedzę poprzez praktykę, lecz uczy się życia w specyficznej społeczności fabryki. Spora więc grupa unika kontaktu z warsztatem, przemieniając się w wyrobników, tworzących zbędną makulaturę. Robią sobie a muzom, leniwieją, albo po prostu zwijają manatki, uciekając do biur projektów.

W 1968 roku Janusz Przylepa otrzymał dyplom inżyniera — po studiach zaocznych, co powinno go skłonić do szukania lepszego stanowiska w innym zakładzie. Nie ma bowiem proroków na ziemi swojej, nie wolno przerastać otoczenia. Byłeś podwładnym, możesz zostać zwierzchnikiem, wy-

który ma prawo do wyższego stanowiska, lepszych uposażeń etc. Nie mogą doczekać się awansu, lub chcą uniknąć wspomnianych konfliktów, dyplomanci zbierają więc manie — nierzadko po kilkunastu latach pracy w jednym miejscu — i stukają do bram innego zakładu, gdzie z reguły przyjmowani są z otwartymi rękoma, albowiem inżynier, a do tego z praktyką produkcyjną, jest jeszcze towarem reglamentowanym. W przeszłości miały podobnych delikwentów, którzy z identycznych powodów zacierają do fabryki, opuszczonej przez tych pierwszych.

Inżynier Janusz Przylepa uniknął tych peregrinacji i kłopotów. Trudno powiedzieć, co określiło taki bieg sprawy: osobiste przymioty, zawodowe i ludzkie inżyniera, czy też racjonalna polityka kadrowa Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych. Powiedzmy, że jedno i drugie, nie stwarzając z indywidualnego przypadku ani reguły, ani egzotycznego odstępstwa od powszechnego zjawiska innego typu.

— Wszystko zależy od mądrego szefa, a ja takiego miałem. U nas każdy, kto chce, może się uczyć, u nas widać skłonność do kształcenia.

LFMR produkuje różne maszyny i różne, można powiedzieć, rzeczy, jako że jedna z jej filii wytwarza nawet skrzynki pocztowe, nie mówiąc o kotłach i zbiornikach cementowych; wyroby niejako kierunkowe pozostawiamy tym razem na uboczu. Prowadzi to do rozproszenia sił ludzkich i produkcyjnych, nie sprzyja jakości.

— Jesteśmy, mam na myśli kadre kierowniczą, „omnibusami”, a przecież na wszystkim znać się nie można. Mimo tego, biorąc pod uwagę cały przemysł maszyn rolniczych, poczyniliśmy w ostatnich latach znaczne postępy, nasze wyroby pod względem konstrukcyjnym nie odbiegają od poziomu światowego. Odstajemy jednak w zakresie technologii, bo produkujemy w małych seriach, co utrudnia odpowiednie ustawienie procesów technologicznych. Także z wykonawstwem nie jest najlepiej.



Główny konstruktor LFMR inż. Janusz Przylepa. Fot. CAF (M. Polski)

wracając utrwalone hierarchie i układy personalne, szarpiąc ludzkie ambicje i nadzieje. Ci, co uzyskali dyplomy zaocznie, otrzymując tym samym argument w staraniach o awans, wiedzą dobrze jak trudno, z jakimi oporami akceptuje środowisko przemianę „pana Wacka, zasłużonego referenta działu planowania” w „pana inżyniera Waclawa”.

Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych znajduje się w okresie dynamicznego rozwoju, poszerza się o nowe obiekty, opracowuje nowe konstrukcje. Podmiotem tego interesu są przecież ludzie.

— Jacy ludzie powinni być na stanowiskach kierowniczych? Odważni i odpowiedzialni; o mądrości już mówiłem.

Dokończenie ze str. 5

— Siedzimy tu jak dziki w lesie — powiedziała na wstępie. Przyjęłam to za usprawiedliwienie. — Ten dom postawił jeszcze dziadek, który całe życie pracował we dworze, renty żadnej od dziedzica nie dostał, tylko kawałek działki pod lasem. I tu będziemy mieszkać, bo i gdzie iść...

W domu jest bardzo czysto i ładnie, ciepło i sucho, na ścianach mnóstwo fotografii, obrazków i obrazeczek. Głośno tyka stary zegar z długim wahadłem. Na stoliku radio lampowe zasilane dużymi bateriami.

— Dobrze odbiera? — Gospodyni włącza na chwilę, głos piosenkarki płynie bez zakłóceń.

— 85 złotych bateria, wylicza gospodyni, 26 złotych ogniwo, 20 złotych bierze taki człowiek z Krasnobrodu co przychodzi podłączyć. 15 złotych — opłata na poczet. Właściwie to się radio wcale nie kalkuluje, ale ludzi we wsi nie ma, nigdzie się nie jeździ, to jak w niedzielę napale w piecu, położę się na łożku — lubię wtedy

## Winien Paryż...

czegoś posłuchać. U nas nie się nie czyta, bo i wzrok słaby i szkoły mam mało, człowiek służył we dworze, kto się wtedy uczył, nie to, co teraz...

Glupio mi, że zadaję nietaktowne pytanie. Właściwie ta tabliczka na ganku, gdzie nieporadnymi literami napisano „zagura” przez zwykłe „u” i tak powiedziała mi wszystko.

Bardziej rozpytywałam się i tutaj i u Mielnickich o przeszłość Zagóry, niż o jej przyszłość, ale ludzie mówili nie pytani; tutaj mają stawiać domy

wczasowe i wtedy doprowadziliby światło i droga by była i wieś znowu zaczęłaby żyć, chociaż to już nie wieś tylko przedmieście Krasnobrodu. Zapytam o to, obiecuję naczelnika gminy. — To pani się wybiera do siostry? — A to jest siostra pani? — Tak, wychowywała się w tym mieszkaniu, gdzie teraz rozmawiamy.

Pani naczelnik, Stanisława Drozdowa, wróciła zmarznęta z terenu.

— Zagóra? Dawno nie byłam, bo czasu mało, ale pięknie tam, prawda?

Prawie Krynica. Wyludnianie się wsi jest obecnie powszechne i normalne. Tam, gdzie ziemia jest dobra, opuszczone gospodarstwa zaadoptują przedsiębiorstwa państwowe lub kółka rolnicze. Szansa Zagóry jest turystyka. Krasnobród i okolice są zbliżone krajobrazowo do Beskidu Śląskiego, są tam świetne warunki do wypoczynku letniego. Już można się kąpać w zalewach, a zima — uprawiać narciarstwo. Chcemy sprzedać to nasze powietrze i ciszę.

— Rzadko się zdarza, zauważam na koniec, by nowe życie powstawało na pustym polu. Częściej nowe rozpycha się łokciami w starym porządku, ale budując swój gmach wiele przejmując, chce czy nie chce, z przeszłości, z tradycji. Rzadko czeka spokojnie na puste dla siebie miejsce. Ale zdarza się. Wszystkiemu winien ten Paryż...

Maria Brzezińska

Kamena str. 7

# Nowa Limanowa

wejrzenia z własnego podwórka w szeroki świat i zaadaptowanie z niego tego co najlepsze dla własnych potrzeb. Siedmiotysięczna społeczność Limanowej czerpie dochody z pracy w licznych drobnych zakładach przemysłowych, z rolnictwa i turystyki. Budżet miasta wcale nie przedstawia się imponująco. Ale wprowadzające przybysza w podziw obiekty turystyczne i sportowe czy też tereny rekreacyjne buduje się tutaj ze wspólnych funduszy i przy wyjątkowo wielkim udziale czynów społecznych. Kiedy tutejsze władze postanowiły w ubiegłym roku dokonać całkowitej przebudowy rynku, jako pierwszy sięgnęli za łopaty i sekretarz KP PZPR, Antoni Rączka i przewodniczący Prezydium MRN, Jan Ciepeliak, pracownicy Prezydium i Komitetu Powiatowego, robotnicy i młodzież szkolna, zaangażowana ludność z pobliskich wsi, wszyscy pracowali przez długie tygodnie.

Dzisiaj limanowski rynek należy do najpiękniejszych w kraju. Wyłożono go pięknymi płytami z piaskowca, zainstalowano atrakcyjne (i czynne) fontanny, na kwietnikach zasadzono tysiące róż. Nad rynkiem dominuje piękna bryła kościoła z początku XX w., nawiązująca do ludowego podhalańskiego budownictwa sakralnego, ale o specyficznym charakterze centrum Limanowej stanowią przede wszystkim nowoczesne, ze szkła i betonu, rozja-

wion sosnowych, w scenerii przypominają, zbudowany kosztem 35 milionów złotych przy ogromnej pomocy finansowej organizacji młodzieżowych z całej Polski.

Historia budowy tego obiektu może być przykładem, jak Limanowa wprowadza w życie śmiałe projekty, jak przewycięża trudności i dlaczego tytuł mistrza gospodarności jej się należał. Przed kilkoma laty Dom Młodzieży był tylko ideą powstałą w głowach grupy limanowskich działaczy politycznych i społecznych. Nie posiadano ani sprecyzowanych projektów, ani — co ważniejsze — żadnych funduszy. Wiedzieli tylko jedno: ten Dom ma być i pomnikiem Janka Krasickiego, i domem kultury, którego Limanowa nie posiadała, i centrum szkoleniowym dla młodych działaczy politycznych z całego kraju. Zawieszono społeczny komitet na którego czele stanęli mgr Adam Biedroń i ówczesny sekretarz propagandy KP PZPR, Józef Pach.

W momencie otwarcia konta w Banku Spółdzielczym rozpoczyna się wielka akcja propagandowa na rzecz zbiórki pieniężnej na Dom Młodzieży. Ale wkrótce limanowianie orientują się, że same miejscowe społeczeństwo nie udźwignie ciężaru zadań, jakie sobie postawiło. Należy sprawą budowy zainteresować szersze kręgi młodzieży. Organizują więc pierwszy zlot młodzieży w Limanowej, który następnie przekształcił się w Ogólnopolski Rajd Turystyczny im. Janka Krasickiego. Na początku lutego 1968 r. na posiedzeniu Wojewódzkiego Komitetu Współpracy Organizacji Młodzieżowych w Krakowie zapada decyzja zainteresowania budową wszystkich organizacji młodzieżowych w Polsce. Pod koniec 1969 r. zespół inżynierów Zarządu Inwestycji „Orbis” w Krakowie opracowuje społecznie założenia do projektowania budowy Domu. Odpowiednio zaangażowany „Miastoprojekt Kraków” przystępuje do opracowania dokumentacji. W tym samym czasie energiczną limanowianie doprowadzają do utworzenia specjalnego Komitetu do Spraw Propagandy w Krakowie. Impreza zaczyna się szerzej interesować prasą w całym kraju.

W tym samym czasie energiczną limanowianie doprowadzają do utworzenia specjalnego Komitetu do Spraw Propagandy w Krakowie. Impreza zaczyna się szerzej interesować prasą w całym kraju.

Ale oto rok 1970 przynosi trudności. Okazuje się, że teren na „Siwym Brzegu” wymaga badań geodezyjnych, że w związku z tymi badaniami należy opracować projekt indywidualny, że w grę wchodzi sprawa uporania się z prawami własności, wpływy na fundusz budowy rosną bardzo powoli...

Po czterech latach starań, zabiegów, pracy organizacyjnej i propagandowej, wyniki mogły zniechęcić niejednego. Ale w Limanowej powiedziano sobie, że żeby się waliło i paliło, kamień węgielny pod dom im. Janka Krasickiego zostanie wbudowany. Uchwała podjęta na XIII Plenum ZG ZMS w czerwcu 1971 r. wyprowadza nareszcie sprawę budowy Domu Młodzieży na spokojne wody: Pomnik Janka Krasickiego — Dom Młodzieży w Limanowej, będzie nie tylko symbolem holdu i przypomnieniem postępowych tradycji polskiego ruchu młodzieżowego; stanie się także wyrazem postaw, zaangażowania i wspólnego wysiłku współczesnego pokolenia młodzieży polskiej.

Akcja nabiera pełnego rozmachu. Rok 1971 zamyka kwota miliona sześćset pięćdziesięciu tysięcy złotych zebranych ze składek młodzieży. Prezydium PRN i WRN podejmują uchwały o włączeniu inwestycji do programu czynów społecznych. Centralna Rada Związków Zawodowych przekazuje milion złotych, spółdzielcy województwa krakowskiego — pół miliona. GKKFIT zapewnia fundusze na budowę części noclegowej Domu Młodzieży — nie mniej niż 13 milionów złotych.

I kamień węgielny, jak przewidywano, zostaje wmurowany w fundamenty. Jest jeszcze wiele do zrobienia i przed Komitetem Budowy piętrzą się niemal trudności, także natury finansowej. Ale fundamenty już są, ściany rosną, a to musi oznaczać, że w 1975 r. Limanowa — tak jak sobie założyła — zaprosi gości z całej Polski na uroczyste otwarcie Domu Młodzieży im. Janka Krasickiego. Zresztą, nie dziwnego: „U nas chcieć to znaczy móc” — oświadczył mi kategorycznie jeden z przedstawicieli młodego pokolenia Limanowej.

Coś w tym jednak jest...

Mirosław Derecki



rzne neonami gmachy domów handlowych i kombinatu gastronomicznego, doskonale wkomponowane w architekturę otaczających plac zabytkowych kamieniczek. Ulice są czyste, frontony domów pięknie pomalowane na pastelowe kolory, śmietniki na podwórkach przykryte efektywnymi daszkami. Bezustanna dbałość o czystość, o porządek — nawyk, który wszedł w krew i mieszkającym i miejscowym władzom, to jedna z charakterystycznych cech tego miasteczka. Sam przewodniczący PMRN dojrzawszy na jezdni grudy błota naniószone kołami ciężarówek przedsiębiorstwa budowlanego; chwytając za słuchawkę i dzwoniąc z wymówkami do dyrektora przemawiając do rozsądku, wstydząc, karząc, a kiedy nie pomaga — wspominając o milicji i prokuratorze...

Limanowa to pomysłowość i konsekwencja. Ile już się w Polsce napsuło papieru pisząc bezskutecznie o chamstwie sprzedawców i kelnerów, o „nowoczesnych” restauracjach i kawiarniach przypominających wyglądem co podrzędniejsze stolówki... Limanowa zafundowała sobie nowoczesną restaurację i kawiarnię „Myśliwska”, sałe są przestronne, meble na wzór zachodnioeuropejski, ale jednocześnie pomysłowo o zapewnieniu zaciszości i intymności wnętrza. „Myśliwska” jest myśliwska nie tylko z nazwy. Tutaj na ścianach wiszą sarnie i jelenie rogi, z mroku spoglądają szklanym okiem wypchane gluszcze i ciętrzewie, a przede wszystkim kuchnia serwuje smakowite dania nie opierające się na standardowej recepturze: bigos myśliwski, pieczeń po zbójnicku, zrazy po cygańsku.

Nieopodal — kawiarnia „Zbójnicka”. Sala zastawiona rzeźbionymi góralskimi stolami i ławami, kelnerki w czystych, wykrochmalonych strojach regionalnych. W podziemiach — oczywiście „Pivnica Zbójnicka” z efektywnym kominkiem i strumykami szmerzącym u stóp konsumentów. Po przeciwnej stronie rynku urządzono piwnicę na świeżym powietrzu. Tutaj można wypić doskonale piwo żywieckie siedząc przy stołach z prostych bier-

zgodnych ze standardem naszego budownictwa.

Studenci spędzili kilka miesięcy w Limanowej, a owocem ich pobytu są świetnie zaprojektowane, nawiązujące do tradycyjnej architektury podhalańskiej obiekty: szkoła podstawowa, dworzec autobusowy i hotel miejski wraz z zapleczem campingowym. Aż szkoda, że to tylko studenckie „wprawki” i wszystkie budynki pozostaną na papierze. Ale dobry początek został zrobiony: młodzież zainteresowała się Limanową, być może kilku przyszłych absolwentów osiedli się w miasteczku. A sam profesor Kupiec został zapewne wpisany do „Złotej Księgi Miasta Limanowa”, założonej dla upamiętnienia po wsze czasy imion i nazwisk ludzi, którzy przyczynili się do rozwoju miasteczka. Limanową stać na szeroką, kompleksową działalność, ale nie zapomina ona również o drobnych, eleganckich gestach wobec ludzi, którzy poświęcają jej swój trud i swój wolny czas.

Kto chce dowiedzieć się, jak to naprawdę było w ciągu ostatnich kilkunastu lat, niech wybierze się do dzielnicy Sowliny i zapyta o panią Szmidtową. Obdarzona niezwykłą pamięcią, sypiąca jak z rekawa faktami, datami i nazwiskami, poprowadzi przybysza ulicą Graniczną pod Lisią Górę i wskaże dom, gdzie 18 września 1919 r. przyszedł na świat Janek Krasicki, późniejszy członek KZMP, członek KC PPR, pułkownik Gwardii Ludowej, współzałożyciel Związku Walki Młodych, jedna z najpiękniejszych postaci polskiego rewolucyjnego ruchu młodzieżowego.

Dom, w którym J. Krasicki spędził pierwsze lata swojego życia, zniknie pewnie niedługo z powierzchni ziemi. W czasach, kiedy go budowano mieszkała na „Lisiej Górze” największa biedota robotnicza, wznoszono budynki jak najtańsze, nietrwale. Ale oto już w centrum, nad potokiem, w otoczeniu starych świerków, tam, gdzie ulica Parkowa gubi się we wznieśleniu zwanym „Siwym Brzegiem”, wyrastają fundamenty trwałego pomnika Janka Krasickiego. Będzie nim nie cokół lub obelisk, ale rozległy, nowoczesny Dom Młodzie-



Limanowa — miasto powiatowe w woj. krak. połowie drogi między Mszaną Dolną a Nowym Jakiem. Jako wieś znana od początku XVI w., prawa nabyła w 1563 r., tracąc je po pierwszym rozbiorze w 1824.  
Beskid Wyspowy leży w dorzeczu Raby i Dunajki. Wzrost — Mogielnica — 1170 m n.p.m.







# FESTIWAL WROCŁAWSKI

Kazimierz Braun

**W** DNIACH 21-23 października br. odbył się we Wrocławiu IV Międzynarodowy Studencki Festiwal Teatru Otwartego.

Impreza, która na stałe weszła do międzynarodowego kalendarza ludzi teatru, świetnie zorganizowana, ważna. Brało udział 19 zespołów (w kolejności wystąpienia): Kalambur (Wrocław), STG (Gilwice), Theatre Creation (Lozanna, Szwajcaria), Teatr 77 (Łódź), Le Theatre de l'Homme - Actor's Laboratory (Hamilton, Kanada), Tenio Sajiki Troupe (Tokio), Studentina (Sofia), Freies Theater (Monachium), Triple Action Theatre (Londyn), Podul (Bukareszt) Studencki Teatr (Szeged), Teatro a Comuna (Lizbona), Teatro Unia e Olho Vivo (Sao Paulo), Studio ISK (Leningrad), Teatr 8 dnia (Poznań), Pleonazmus (Kraków), Grupo Once Al Sur (La MaMa Argentina, Buenos Aires), Odin Teatret (Holstebro, Dania) Teatro Popolare di Ricerca (Padwa). Odbyły się ponadto liczne spektakle Off - Festiwal, spotkania (m. in. z J. Grotowskim), dyskusje i warsztaty (m. in. O. Krugera), a także wystawy, kiermasze itp. Festiwalowi towarzyszyło zainteresowanie opinii teatralnej wyrażone obecnością krytyków (licznych), ludzi teatru (nie-licznych) z kraju i ze świata oraz stały, masowy szturm publiczności na wejścia i „bramki” prowadzące do sal.

Wrażenia bogate, różnorodne, składające się w sumie na urozmaiconą wartościową całość. Krytyka oceniła poszczególne zespoły. Nie wchodząc w jej kompetencje i nie zajmując się ani streszczaniem swych wszystkich wrażeń, ani wystawianiem dziewiętnastu cenzurek, chciałbym przekazać czytelnikom „Kamery” to, co zapadło we mnie najgłębiej, było najważniejsze. A także najważniejsze informacje.

## JERZY GROTOWSKI

Widziałem ponownie *Apocalipsis cum Figuris*. To przedstawienie stojące na pograniczu jeszcze — teatru i już — spotkania jest teraz jeszcze jakby lżejsze, bardziej świetliste i strzeliste. To jest ten najwyższy poziom artyzmu, wirtuozostwa, z którym obcuje się niekiedy tam i wtedy, gdy jakiegokolwiek problemy techniki i wyrazu przestają być ważne, forma przestaje krępować, nie stawia oporu i wyzwolony w pełni artysta znów staje się po prostu człowiekiem, jednym z nas, jego poruszenia i działania są łatwe, oczywiste i jasne. Dzieje się tak już po wyzwoleniu się ze sztuki. Tak, istotnie, słuszne jest porównywanie aktorstwa w *Apocalipsis* do stanu oświecenia (satori) i tak, istotnie, w czasie *Apocalipsis* wychodzimy już z teatru, ku spotkaniu, oni przychodzą spotkać się ze sobą wobec nas i z nami.

Potem jest już Święto. Na spotkaniu w „Pałacyku” Jerzy Grotowski mówił o swojej obecnej pracy nazywanej skromnie „Special projekt”, prosił, aby w czasie tego spotkania nie notować i nie nagrywać, aby było to spotkanie, więc nie mam notatek, ale ważniejsze od sformułowań było jego braterskie posłanie. (Zresztą tekst kiedyś zostanie opublikowany przez niego samego). Narzucało się nieodparcie wrażenie, że tak jak poezja wraca dziś wielokrotnie do swych starych, żywych form śpiewanych i mówionych, tak sztuka teatru wraca dziś do najczystszych tradycji bezpośredniego łączenia was i nas w sztuce bezpośredniego spotkania.

## ELLEN STEWART

Grupa *Once Al Sur* to argentyńska *La MaMa*. Ellen Stewart przyjechała do Wrocławia na przedstawienie swych podopiecznych, jednej z kilkunastu grup *La MaMa*, działających na całym świecie. Czytelnikom „Kamery” należy się szersza informacja o *La MaMa*.

„Co to jest *La MaMa*? *La MaMa*, to Ellen Stewart, kobieta, która w ciasnych pomieszczeniach na 4 ulicy wschodniego Manhattanu niestrudzenie przyjmuje artystów o najróżnorodniejszych horyzontach życiowych, przynoszących najrozmaitsze pomysły teatralne. Ellen Stewart umożliwia im pracę zgodnie z wyznawanymi przez nich poglądami, często nawzajem sprzecznymi. Nie ma więc stylu, ani szkoły *La MaMa*. Jest zaś suma różnorodnych poszukiwań popieranych i rozwijanych bez żadnych wstępnych warunków i to wszystko razem nazywa się *La MaMa*. W ciągu dziesięciu lat *La MaMa* poka-



Studencki Teatr z Szeged w przedstawieniu „Pötoefi Rock”.

Fot. C. Chwiszczuk

zała około 500 sztuk, z których olbrzymią większość stanowiły debiuty około 200 młodych pisarzy amerykańskich. 19 zespołów w Nowym Yorku i na całym świecie tworzy więź teatrów *La MaMa*...” — czytam w ulotce rozdawanej przed przedstawieniem.

Jest jakaś prawidłowość, że w martwym i sztywnym systemie teatru kapitalistycznego pojawił się ktoś taki jak Stewart — animatorka, propagatorka, fanatyczka, osobiście tak błędna, jak jej podopieczni, przekonana jednak, że jedynie najszersze popieranie najróżnorodniejszych poczynań teatralnych może w rezultacie owocować arcydziełami.

Ellen Stewart, Murzynka, zaczęła od maleńkiej salki kawiarzanej z widownią o 25 miejscach, którą wraz z grotem paru przyjaciół własnoręcznie urządziła i wyposażała w zrobione własnym przemysłem reflektory ze starych puszek po konserwach i w meble zbierane na śmietnikach.

Ellen Stewart zaczynała z niczego. Pierwsze przedstawienie dano 27 lipca 1962 roku. Zespół aktorski pracował za darmo i tak było przez wiele lat. Nie było biletów. Publiczność wchodziła również za darmo. Tylko po przedstawieniach zbierano dobrowolne datki. Ellen zbierała je sama i do dziś zachowała obyczaj osobistego witania publiczności przed każdym przedstawieniem, przedstawiania autora, z reguły debiutanta i żegnania publiczności do skończonego przedstawienia. Do dziś zresztą, jeśli jest na miejscu, Ellen sama przedziera bilety, rozsadza ludzi. Rozmawia z nimi.

Od 1968 roku datuje się łącznie niezwykle rozrost *La MaMa*.

Jej niezaprzeczonego udziału w rozwoju nowego teatru polega na tym, że pomagała w materializacji najdziwniejszych, najbardziej nieprawdopodobnych pomysłów. Pisarz i reżyser mogli sprawdzić swoje wizje i siebie samych. Mogli zobaczyć, jak to, co się pisze i mówi, marzy i śni, staje się teatralnym faktem, zdarzeniem, zmysłowym konkretem, nabiera aktorskiej cielesności. Właśnie ta możliwość konfrontacji jest największą wartością, jaką wniósł mecenat Ellen Stewart. Ta

plaszczyna była najważniejsza na początku działania *La MaMa*. Jednakże w ostatnich paru latach mnożą się już nie tylko konfrontacje i próby, ale coraz poważniejsze artystyczne dokonania. Pełne, wielowarstwowe. I tu również Ellen Stewart patronuje wartościom najróżniejszym, najbardziej od siebie odległym. Kryje się w tym szansa, że i w przyszłości pod znakiem *La MaMa* będą się dokonywały rzeczy teatralnie ważne.

Tak było też we Wrocławiu. Przedstawienie *Once Al Sur* — polityczny i

głota (zna języki: włoski, polski, angielski, francuski, norweski, duński, szwedzki, niemiecki), ukończył trzy fakultety uniwersyteckie: literatury norweskiej i francuskiej oraz religioznawstwo. Następnie jako stypendysta UNESCO był przez pewien czas wolnym słuchaczem Wydziału Reżyserii w Warszawie, skąd przeniósł się do Opoli, do Teatru 13 Rzędów. Spędził tam trzy lata, od 1961 do 1963. Był więc świadkiem i uczestnikiem formowania się idei teatru ubogiego. Jego książka o Grotowskim *Alla ricerca del teatro perduto* była pierwszą poważną, a równocześnie od razu kompetentną i błyskotliwą prezentacją idei i dokonań Grotowskiego. Książka wyszła w roku 1965.

Po wyjeździe z Polski Barba pojechał do Indii, a potem skierował się ponownie do Norwegii. Starał się dostać do teatru, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Zdecydował się wtedy zebrać własną grupę. To również nie było łatwe. Zawodowi aktorzy nie chcieli słyszeć o puszczaniu się na nieznaną wodę poszukiwań, które proponował Barba. Postąpił on wtedy inaczej: zaproponował wspólną pracę jedenastu młodym ludziom, którzy zostali odrzuceni na egzaminie do Szkoły Teatralnej w Oslo. Stworzył z nimi Odin Teatret. Był rok 1964. Swoim młodym adeptom zaaplikował ćwiczenia, jakie znał z Teatru Laboratorium. Reżim pracy okazał się tak surowy, że po trzech miesiącach Barba został już tylko z czwórką zapaleńców. Dwoje z nich pracuje z nim do dzisiaj. Wystawił jednak z nimi *Ornitofileve* wedle sztuki norweskiego współczesnego pisarza Jensa Bjørneboe.

Praca w Oslo napotykała jednak na wielkie trudności. Barba przeniósł się więc do Danii i zainstalował swój teatr w małym, ale posiadającym piękne ambicje kulturalne miasteczku Holstebro. Odin Teatret stał się Inter-skandynawskim Laboratorium Teatralnym. Prowadzi badania praktyczne, wydaje publikacje, organizuje seminaria, a także pracuje dla małej wspólnoty Holstebro, z którą współzycie twórczej grupy układa się dobrze i przyjaźnie.

Weźniej niż Schumann wyniósł się z Nowego Yorku, zanim Grotowski zainstalował swe gniazdo w Brzezince pod Wrocławiem — Barba odczuł potrzebę odseparowania się w czasie procesów pracy od wielkich metropolii i wyczuł szansę tkwiącą w bytowaniu na małej podmiejskiej, a właściwie wiejskiej farmie.

W ciągu dotychczasowej pracy w Holstebro przygotowano trzy przedstawienia: *Kasparianę*, *Fera* i *Dom ojca* według Dostojewskiego pokazany we Wrocławiu. Jest to niezwykle sugestywne, okrutne, mistrzowskie w planie psychicznym i fizycznym przedstawienie o czystości wplatanej w zepsucie, o świeżości jednostki zachłapywanej pomysłami zbiorowych nawyków, o delikatności i młodości zderzającej się z brutalnością i dzikością. Przedstawienie piękne i niezwykle. Pierwsza praca Barby pokazana w Polsce. Mam nadzieję, że nie ostatnia.

## SZEGED

I wreszcie największa niespodzianka. Najradośniejsze przeżycie Festiwalu. Skromny, prawdziwie studencki teatrzyk węgierski z Szeged.

Przedstawienie opowiadające tańcem, śpiewem i prostymi etiudami o rewolucji 1848 roku. Jasny komunikatywny język teatru, pokonujący bez oporów bariery językowe. Przedstawienie o pięknie i zapale rewolucyjnego zrywu, przedstawienie tak trapiące, że u jego końca cała sala maszerowała w pochodzie zmieszana z aktorami, śpiewając. Wytworzyła się rzeczywista, mocna, spontaniczna wspólnota przeżyć, działań, marzeń. Nowy teatr.

Wrocławski Festiwal robił już wiele na przestrzeni lat dla rozwoju nowego teatru. Miejmy nadzieję, że ta ważna, interesująca impreza będzie rosła w znaczenie i coraz bardziej wartościowo owocowała dla rozwoju teatru na świecie i w Polsce. Tę — najważniejszą — rolę Festiwal Wrocławski do-  
brze spełnił w 1973 roku.

**T**O był niepowtarzalny dla mnie Ogólnopolski Zjazd Związku Literatów Polskich. Puszysta zima, czapy śniegu na kasztanach i wieżach kościołów, Wawel... Nowy obraz „Cracovia”, z okien którego widać kopiec Kościuszki... Kraków, owiany legendą. Wciąż wyobrażnię atakują przeurocze anegdoty związane z artystami dawnymi i współczesnymi, których wzrok wtapiał się w te same przestrzenie i których nie zawsze całe buty deptały te same chodniki. Myślę, że jak w żadnym polskim mieście, w Krakowie jest panowanie przeszłości w tej najbardziej uroczej formie, bo anegdotycznej, ulotnej, w cieplej, łagodnej barwie. W mieście tym bowiem, jak wiadomo, na każdym kroku spotykamy się oko w oko z historią literatury, z malarstwem, w ogóle ze sztuką... Ale nie o tych rzeczywistościach chciałem opowiedzieć. Wstęp ten robię tylko dlatego, aby usprawiedliwić się, że mnie udzieliła się aura Krakowa. I ja wywozłem stąd zdarzenie, choć prawdziwe, mające, tak przynajmniej sędzę, pewien swoisty urok anegdoty...

Oto delegaci na krakowski Zjazd Literatów stają przed recepcją hotelu „Cracovia” w hallu, o ile sobie przypominam, wyłożonym kolorowymi kafelkami mozaikami. Długi sznur pisarzy ustawio-

trzyma dowód siwego, szczupłego pana w okularach. Rumieniec na jej twarzyczce nabierają intensywności pasowej róży. Drżącym, załamującym się głosem zwraca się do siwego pana, przepraszając. Trzymając jego dowód w obu dłoniach, biegnie do grupki swoich rówieśnic, uczennic-praktykantek. Pokazuje im dowód, do najwyższego stopnia podnieconym głosem coś im zawzięcie tłumaczy. Rumieniec, jak pod wpływem podłączenia źródła prądu, pojawia się na wszystkich młodych twarzyczkach. Natychmiast podbiegają i gromadzą się przed szczupłym panem w okularach. Ta pierwsza, z dowodem osobistym w ręku — najwyraźniej najszcześliwsza i najważniejsza dzięki temu dokumentowi, najdelikatniej i jak tylko można najuprzejmiej załatwia formalności hotelowe siwemu panu. Podsuwa swój pamiętniczek w czerwonej oprawie; za chwilę jedna przez drugą, robią to samo wszystkie jej koleżanki. Przed panem w okularach wyrasta stos różnokolorowych pamiętniczek. Oczywiście pierwsze, jeśli chodzi o dedykację, ma ta panienska, która załatwiała pana w okularach. Szczupły pan zamasyście wpisuje do pamiętników długie dedykacje. Udziela się i mnie nastrój podniecenia wytworzony przez miłe dziewczęta. Skąd ta nagła emocja i zainteresowanie? Kim jest ten szczupły

zostawiając rozczarowane (teraz naprawdę rozczarowane) koleżanki Ani brakiem mojej dedykacji również w ich pamiętnikach. Kiedy byłem już na schodach prowadzących na górę do mego pokoju, obejrzałem się w stronę recepcji. Wszystkie uczennice ściśnięte i przytulone do siebie jak stado ładnych kurcząt, jedna przez drugą, pochylone trwały nad otwartym pamiętnikiem Ani. Odczytywały moją dedykację ze strony pamiętnika, która wyglądała teraz następująco:

Ja do Ani, Ani, Ani  
A Ania, ani, ani, ani...  
Jan Izidor Sztudynger  
Do Ani u Sztudyngera  
Już ani, ani, ani, ani...  
Czesław Kuriata

Tak oto „ulożyłem” fraszkę erotyczną, zazdrozcząc sławy samemu Sztudyngerowi! Przez te kilka lat, jakie upłynęły od tamtego zdarzenia w hotelu „Cracovia”, napisałem kilkanaście innych fraszek. Myślę, jak myślałem i wtedy, że świetny poeta i fraszkopisarz wybaczylby mi tamten krakowski fraszkowy żart. Wiadomo, jaką bronią walczysz... Żałuję bardzo tylko tego, że nie opowiedziałem podczas tamtego Zjazdu Literatów Janowi

# Spotkanie ze Sztudyngerem

Czesław Kuriata

nych karnie w kolejce. Stoimy bez względu na dokonania w literaturze, nie ważny tu stopień sławy — miejsce w kolejce zajmujemy bez względu na liczbę wydanych książek i cenzurki wystawione przez krytyków. I być może, najmniej znany literat, którego wciąż besztą krytyka, tu właśnie pomysłal tęsknie, z westchnieniem, że historia i czytelnicy mogą właśnie tak przemieszać kolejność miejsc na Parnasie, jak teraz przypadkowo stoją pisarze w tej kolejce przed recepcją. Tu każdy ma jednakowe prawa, bowiem wszyscy jakoś tam, lepiej czy gorzej, ale zameldowali się w literaturze. A więc mają prawo potwierdzić to zameldowanie również tutaj. Za ladą recepcji uwijają się młodziutki, sympatyczne dziewczęta z wyhaftowanym w klapie mundurka napisem „Uczeń”. Te młodziutki dziewczęta z Technikum Hotelarskiego mają wielką frajdę. Sprawdzają bowiem dowody osobiste wybitnym pisarzom, których wierszy musiały się uczyć na pamięć lub czytać powieści i opowiadania, aby potem męczyć się z ich streszczeniem. Być może, niejedna z nich oberwała dwojgę za któregoś ze starszych panów, stojących teraz w karnym ordynku. A jest tu wielu rzeczywiście znakomitych pisarzy. W kolejce przede mną widzę Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Putramenta i Juliana Przybosa, za mną także kilku autorów, którzy od dawna są już w literaturach szkolnych. Patrę i próbuję się domyśleć, co też te podlotki mogą czuć trzymając w swoich rączkach dowody osobiste tak wybitnych i sławnych pisarzy. Obserwuję uważnie ich wyraz twarzy, ruchy, a nawet wsłuchuję się w barwę głosu kiedy mówią: „proszę”, „dziękuję”... Uczennice są jednak spokojne, uprzejme, powiedziałbym, że nawet w odrobinę dostojny sposób załatwiają tylu niezwykłych, hotelowych gości. Oto jedna z nich, pulchniutka jak pączek, o ładnej, choć trochę lalkowatej twarzy, bierze dowód Jarosława Iwaszkiewicza. Patrę uważnie. I nie bardzo wierzę własnym oczom i uszom. Nic, zupełnie nic! Dziewczyna zachowuje się najspokojniej w świecie; żadnego rwetesu, podniecenia, drżenia rąk przy wpisywaniu do książki hotelowej, najmniejszej emocji w głosie. Za chwilę wypisuje druczek meldunkowy Jerzy Putrament, obok niego Władysław Machejek. To samo. Uczennice przejawiają spokój, absolutny spokój. Potem jeszcze kilka osób. Wszyscy to pisarze znani i popularni. Przesuwam się trochę w bok, bo zasłania mi widok wysoki i w okularach, siwy pan przede mną. Druczek wypełnia Jan Dobraczyński. Może na jego widok zdręźnił głos podlotkowi z recepcji? Wiadomo, to przecież popularny pisarz katolicki. Ale gdzie tam! To samo, co przedtem, dziewczęta zachowują się spokojnie. Jestem rozczarowany i trochę zbulwersowany. Ja przecież, gdy pierwszy raz rozmawiałem z tymi pisarzami, przeżywałem nie lada emocje i trepe. Usługuję dać spokój w swoich myślach uczennicom z recepcji, pocieszając się, iż ta obserwacja ich w bezpośrednim kontakcie z wybitnymi pisarzami, ich reakcja, a raczej brak całkowitej reakcji, to także jakaś wiedza. Teraz podaje dowód siwy, szczupły pan w okularach. Spośród stojących przede mną nie znam tylko jego nazwiska. Nagle pomysłal, czy uda mi się dostać pokój jednoosobowy. A gdyby tak jeszcze z łazienką... Wiadomo, jak się czlowiek czuje i wygląda po tej piekielnej podróży prawie przez całą Polskę nad morza do Krakowa. I w tej chwili, zupełnie przypadkowo, opierałam się na barierze zerknąłem na pulchną uczennicę. Dziewcznę drżącymi rękami, z wyiekami na twarzy

pan w okularach, że dopiero on potrafił podnieść aż do tego stopnia te młode duszyczki, które nie przejawiały prawie żadnego zainteresowania takimi sławami jak Iwaszkiewicz, Putrament czy Dobraczyński? Wierzę się z niesamowitej ciekawości, nie mogę jednak nic dojrzeć. Weiskam się delikatnie między barierką recepcji a pochylonego przy pisaniu pana w okularach i wspinać się na palcach. Trwa tu tylko sekundy. Ta sekundowa chwila musiała wyglądać komicznie, jeśli zważy się mój wzrost i wysokiego, szczupłego pana przede mną. Otwarty pamiętnik akurat podawało dziewczę o niebieskich oczach, z dwoma dolezciami na twarzy. Wymykam się spod ramienia piszącemu panu i obok przechylam się przez ladę recepcji. Teraz wszystko widzę i słyszę doskonale.

— Jak pani na imię? — wpisujący dedykację pan pyta dziewczęcia z dwoma dolezciami na twarzy.

— Ania — szepta i romantycznie płoni się dziewczę.

Opieram się rękami o barierę recepcji unosząc nogi nad posadzkę. Odczytuję zamasyście, ale czytelne pismo:

Ja do Ani, Ani, Ani  
A Ania, ani, ani, ani...  
Jan Izidor Sztudynger

A więc to słynny poeta Sztudynger! Cała Polska zna fraszki Sztudyngera, a ja go dopiero przed chwilą poznałem... Świetny fraszkopisarz oddało z uśmiechem pamiętnik właścicielce, Ani. Ta dziewczęcia dyga z przejęciem i pieszczołliwie chowa pamiętniczek pod ladę. Jan Izidor Sztudynger otrzymuje klucz, najpewniej jednoosobowego pokoju, mimo że przyjechał z pobliskiego Zakopanego, myślę zazdrośnie. Autor najlepszych fraszek erotycznych w Polsce idzie na górę do swego pokoju. Kolej na mnie. Podaje swój dowód osobisty tej samej co Sztudynger uczennicy-recepcjonistce. Sprawdzam na liście moje nazwisko, podaje druczek meldunkowy. Postanawiam działać. Chwilę czekam bez słowa, z grymasem niezadowolenia wpatruję się w ładną twarzyczkę. Za kilka minut dziewczę wręcza mi klucz do pokoju. Przebieram poważną, surową minę na jaką mnie tylko stać. Nadać własnej twarzy posagowych rysów, to dla mnie sztuka nie lada, ale czuję, że tym razem udało się.

— A mnie pani nie podają pamiętników? Ja też jestem poeta i przyjechałem na Zjazd Związku Literatów — mówię, udając, że nie panuję nad nerwami. — Jakże to tak, pani, bardzo nieładnie z waszej strony! — przebieram surową, mentorską postawę. — Co wy sobie myślicie! — krzyczę groźnie.

Natychmiast przede mną wwrasta sterta pamiętników, nie mniejsza niż przed Janem Izidorem Sztudyngerem. Patrę na kolorowe, ozdobne, ze złocistymi literami okładki z wyższością na jaką mnie tylko stać.

— Proszę o pamiętnik pani Ani — mówię tonem jeszcze poważnym, a już lekko, dla rozładowania napięcia, uśmiechając się.

Rozpromieniona wwrótnieniem (teraz wyróżnieniem) Ania znajduje swój pamiętnik.

— Proszę noszukać mi stronę na której wpisał się pan Sztudynger.

Ania nerwowo, z przeleciem przewraca kartki i podaje otwarty na właściwej stronie pamiętniczek Szybko wpisuje dedykację, tuż pod dedykacją wybitnego fraszkopisarza. Natychmiast odchodzę

Sztudyngerowi tej historii z pamiętnikiem Ani. Na pewno otrzymałbym potężną reprimendę w postaci jeszcze sroższej fraszki-odpowiedzi. Gdyby tak się stało, wtedy niniejsza historia byłaby bogatsza o jeszcze jeden, na pewno nie mniej ciekawy aspekt. Nawet, gdyby mi się potężnie dostało fraszką od Jana Sztudyngera, bohaterstwo zniósłbym to dla dobra sztuki. A i pamiętnik Ani wzbogaciłby się o trzecią fraszkę i stałby się przez to cenniejszy. Wtedy jednak, tuż po wpisaniu się do pamiętnika Ani, myślałem, powodowany próżnością, li tylko o przejściu do historii dzięki Sztudyngerowi — a przynajmniej pozostania w pamięci Ani. Wychodziłem bowiem ze słusznego założenia, iż moja fraszka na pewno przetrwa wieki w pamiętniku Ani, bo jest na tej samej stronie tuż, tuż pod fraszką-autografem Jana Izidora Sztudyngera. Nigdy bowiem ani Ania, ani jej córka czy



Jan Sztudynger w Krynicy (1970 r.)

Fot. G. Pucłato

wnuczka, żadna z nich nie zniszczy mojej dedykacji w obawie przed uszkodzeniem autografu wybitnego poety-fraszkopisarza. Z premedytacją przecież wpisałem się w pamiętniku Ani tuż, tuż pod nazwiskiem Sztudyngera.

Na marginesie niniejszej historyjki należałoby się zastanowić czy składanie dedykacji w pamiętnikach czytelników na tych samych stronach co wielcy ludzie nie jest jedną z najpewniejszych dróg przejścia do historii literatury?









